



MAŁPIE



ZWIERCIADŁO

Tygodnik społeczny i literacki.

✦ DRESZ ✦

- Życie i sztuka
- Głosy do laboratoryj.
- Prace medyczne
- Głosy polityki
- Symbole z tygodnia
- Chroniemy szarych i czarne
- Obnowienie wyobraźni



Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę rano

Lutego 1. lutego 1933.

Cena egzemplarzu 10 ct.

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi kwartał
nie 1 zł. 30 ct. miesięcznie 45 ct.

Adres redakcyjny i administracyjny
<http://rcin.org.pl> Lwów, ul. Piękarska 10.



Prosimy zażądać

kalendarzyka bankowego, który wysła bezpłatnie dom bankowy **Schutz i Chajes** we Lwowie.



Podróżnym do Tarnopola poleca się

„Hotel Podolski“



Do nabycia w **wszystkich handlach korzennych**



MAGAZYN
towarów biurowych i innych
Stachewicz i Abramski
Lwów Rynek 22

Logotyp
nr. G. Kofala
T.N.W.

Małpie

Zwierciadło

Żygodnik społeczny i literacki.

Point d'attaque.

„Wszystkie sądy — dobre. Wolna dyskusya. Za i przeciw. Największa kolekcya sądów i zapatrywań. Biada dziennikarzom, którzy czytelnika zajmują wszystkim i wszystko poruszają zbiorowo i podają nam w jednym dniu trojaki zapatrywania i dziesięć kłamstw i dwadzieścia faktów i nie-faktów a nie pozwalają nam myśleć! — Kto jeszcze dziś może czytać; kto może jeszcze pochwycić poważną myśl; kto zapamięta poważne słowo z dnia wczorajszego na dzisiejszy! Piorą nas! Wszystko tu jest obok siebie: żart i prawda, mord i wesele, kościół i cyrk; dzielność i sztuczki złodziejskie; wszystko dobrze, co nam przynosi dzień i zapomina się o wszystkim po odłożeniu dziennika. I dziennik idzie swoją drogą a czytelnicy ziewają“...

Arne Garborg („Strucony ojciec“.)

Konieczniewstęp, przedmowa, program. Nie podawali-
byśmy go, gdyby nie okoliczność, że jesteśmy pismem zupeł-
nie nowem, jakiego dotąd w tym rodzaju — Lwów jeszcze
nie miał. Wzięto nas, jak się dowiadujemy, za pismo humo-
rystyczne, inni widzą w nas powiększone lub skrócone wyda-
nie pism bezwzględnie rewolwerowych, przeczuwając w nas
cały arsenał kul, bomb dynamitowych i piorunów. My nie
jesteśmy ani jednym ani drugim.

Czemżeż my będziemy ?

Trudno nam dziś już naszkicować cały program naszej działalności publicystycznej. Możemy tylko naznaczyć, co będzie dla nas *point d'attaque* w rozdzierającym uszy dysonansie koncertu ogólnodziennikarskiego w Galicyi.

Całe społeczeństwo nasze podzielone jest na partye i partyjki, z których każda niemal ma po jednym głównym a czasem jeszcze po kilka drobnych organów. Rzecz prosta, że każdy z nich tak śpiewa jak mu wypada najlepiej ze względu na siebie i swoją partyę. Wszystko co przeciwne lub choćby tylko nie ze wszystkim powolne jego programowi — jest zerem, Krótko: każdy uważa siebie i swoją partyę za ideał, a swoje słowa wypowiedziane lub napisane za bezwzględną prawdę. A prawda jest tylko jedna... Stąd krzyżujące się potworne sprzeczności, poza, chłodne zapęły, naiwność, arlekinada a dość często błaga, potwarz, spadłanie drugich i siebie. Co zaś najczęściej się u nas zdarza, to z jednej strony przysłowiowe nieuctwo całej falangi piszących nożycami reporterów a z drugiej brak koniecznej kontroli ze strony kierownictwa redakcyi i stąd znowu przekręcanie pojęć, fałszowanie i podrabianie faktów, niecne insynuacye, przysłowiowy idjotyzm reporterski a co najgorsza: systematyczne i bezkarne koszlawienie języka, lekceważenie najprostszych bodaj zasad gramatyki, ba — ortografii!

I oto, co w pierwszym rzędzie będzie naszym zadaniem: baczna kontrola tych informatorów opinii publicznej i wieczne otwieranie oczu zaślepionej publiczności czytającej przez dokładne odbijanie i oświetlanie wszystkiego, co w naszym dziennikarstwie jest małpiem.

Nie znaczy to, byśmy się mieli zajmować jedynie i wyłącznie dziennikami jako takimi. Wszystko, co dzień przynosi, a co będzie zasługiwało na podniesienie lub zganienie odbije się w »Zwierciadle« w bezstronnem oświetleniu, przy czem stale unikać będziemy prywatnych brudów.

»Małpie Zwierciadło« — tytuł wzięty od najgenialniejszego satyryka współczesnego Adolfa Neuwert Nowaczyńskiego, wskazuje, że w naszym piśmie *przeważać* będzie satyra — satyra na wszystko, co zasługuje na skarcenie. Podkreślamy słowo »przeważać«, przez co zaznaczyć chcemy, że satyra nie będzie naszym tonem wyłącznym, bo obok satyrycznych znaj-

dą Czytelnicy w naszym piśmie sporą ilość poważnych artykułów z dziedziny spraw społecznych, literatury i sztuki.

Jak nas powita dziennikarstwo galicyjskie?

Naturalnie, że albo nas zakrzyczy, albo zamilczy. Pierwszego nie tylko nie boimy się, ale owszem jest ono dla nas pożądanem; drugim tj. milczeniem jeszcze nikt nikomu nie wyrządził szkody. Jest więc nam jedno i drugie serdecznie obojętnem a czy tego rodzaju pismo jest u nas potrzebne, pozostawiamy do osądzenia naszym Czytelnikom.

Wydarownictwo.



Glossy do literatury.

(20) Czcigodna, luba, światła publiczność znajduje się obecnie wedle nieomylnych prognostyków meteorologicznego obserwatorium jej umysłowej atmosfery we fazie t. zw. modernizmu. Na tę etykietę z kolei rzeczy daje się teraz brać na kawał, za nos wodzić i wabić na lep. Wytwarza to pełną humoru i dowcipną sytuację, w której, niby w paryskiej, bulwarowej farsie roi się od nieporozumień, zabawnych *qui pro quod*ów, intryg, zawikłań, wzajemnych okłamywań i innych tego rodzaju szelmostw. Istna komedia omyłek, zdolna zatwardziałego melancholika i nieuleczalnego śledziennika rozśmieszyć do rozpuku. Świadczy to dobitnie, że komizm w kosmosie nie wyginął jeszcze do szczętu i że poważna humorystyka nie może się uskarżać na wyczerpanie materiału. Młodym adeptom sztuki, bezpłatnym na razie aspirantom poezyi, którzy tu na miejscu we Lwowie założyli sobie biuro porady i pomocy literackiej, a cierpiącym, jak tego dali świadectwo pierwszym i na szczęście ostatniem przedstawieniem teatralnem, na przedwczesne wyschnięcie inwencji poetyckiej, raję tematy z tego zakresu do obrobienia. Mógłbym ewentualnie pośredniczyć; proszę jeno przedłożyć oferty. Niechże tylko wejdą w siebie, otworzą szeroko melancholijne oczęta na karykaturalną panoramę życia, którą mają przed sobą otwartą jak na dłoni, a zobaczą rzeczy, które się jeszcze żadnemu modernście, ryczałtowo ich biorąc i każdego z osobna, we śnie, ani na jawie nie śniły. Niechże sobie tylko wydlubią z głowy, że poezya

musi być poetyczna, że ma rzucać powłóczyste, elegijne spojżenia, i że rezerwoarem wszystkich modernistycznych natknięć jest pełnia lub rożek księżycy. I niech sobie raz wreszcie do kroćset djabłów weperswadują, że poeta współczesny musi być prerafaelickim lunatykiem, połykaczem manny niebieskiej i spacerowiczem na *corso* mistycznych łąk i gwiazdzistych, mlecznych dróg.

* * *

Polska jest teraz wylegarnią królików, kroju secesyonistycznego, na modłę modernizmu, tego dla szerokiej masy konsumujących czytelników węza morskiego, tego dzwonu, o którym wszyscy mówią, że gdzieś dzwoni a nikt nie wie gdzie, tych strachów na zdrowe, rumiane i czerstwe Lachy, tego malowanego na ścianie djabła. Ale Polska jest teraz wylegarnią królików a wszyscy gotowi zaprzysiądź, że każdy nowusienki, świeżo z pudełeczka wyjęty króliczek jest subiektywnym indywidualistą i modernistycznym dekadentem. Jak bowiem raczył skonstatować i rzec o tem ostatnie profesorskie słowo *ex cathedra* Imci P. Piotr Chmielowski, który się przypadkowo z dziwnie prześladowającym go pechem stale myli, ile razy o kwestyi poezyi »doby najnowszej« głoś zabierze, tak za nim ad infinitum odmawia pacierze cała czereda drobiu literackiego, i tak temu trudem bakalarskim uciulanemu brewiarzowi na ślepo wierzy łatwowierna i dobrodusznna publiczność.

Ale trudno wymagać od rzeszy żądnych sensacji czytelników, od jej informatorów, tych niepoprawnych gazeciarskich nieuków i polignorantów, od samego wreszcie grand-belfra polskich kursów samokształcenia się w literaturze, aby ci, rozumiejąc się na rzeczy i fachu, odróżniali margarynę od deserowego masła, skoro sama produkująca brać poetycka, wpływawszy na mielizny tej strugi, mielącej plewy swoje i cudze, na swym handlowym statku wywiesiła banderę z bombastycznym monogramem indywidualizmu. Był to zresztą niewinny fortel i kostyumowa mistyfikacya. Na tym arlekinowym kiermaszu bowiem należało wejść w odpowiedniem dominie z szurum-burum wyrachowanej ostentacyi, aby wpaść w oko, znaleźć pożądaną zbył i należyty pokup. A że w wypożyczalni kostymów na raty nie było na razie nic innego pod ręką, cóż dziwnego, że uboga w ideje a w rymy bogata brać poetycka gorączkowo chwyciła za larwę, której tryumfy otrębiano na wszystkich jarmarkach zagranicy i w tej liberyi wystąpiła na światło literackiej widowni.

Nie więc dziwnego, że i nasi znakomici znawcy, krytycy i recenzenci, od czasów jeszcze mickiewiczowskich obciążeni dziedziczną ślepotą, majstrypopsuje psychologicznej optyki nie

połapali się na tej ciuciubabce i pozór wzięwszy za istotę rzeczy, ogłosili jako swoje jajko kolumbowe, urbi et orbi, „że subiektywny indywidualizm stanowi rys znamieny współczesnych prądów literatury“. A jak za czasów unieśmiertnionych przez Mickiewicza recenzentów, warszawskich arystarchów krytyki, wystarczyło wykuć skrypta kursów Laharpe'a, czy Boileau, aby zdobyć promocję doktora estetyki i retoryki; jak w epoce pozytywizmu przewertowanie sześciu tomów Taine'a, artykułów Żoli i broszury Hennequina dawało patent na sprawozdawcę z literatury, tak dziś z porządku rzeczy z iście niepoprawnym małpiarstwem zagranicą, z nałogową gloryfikacją cudzoziemczyzny tokującej bezmyślnie estetyczny alfabet Mauclair'a Morice'a, Fagueta, Douminica, Gidea, Bahra, Serwesa i innych ćwierć i półćwierci bożków krytyki, olśniewamy europejską erudycją, odczytaniem, znawstwem i rozumieniem rzeczy. Na sam dźwięk tych nazwisk czytelnik wpada w ekstazę i zmienia się migiem w modernistycznego neofita. Pod urokiem tej konstellacji nazwisk uwierzyliśmy tzw. modernizmowi po prostu na słowo i przyjąwszy wszystkie łaskotliwe imiona, nazwy, terminologie, nomenklatury i banderole na gotowo za apodyktyczne pewniki, przesuwamy te fałszywe liczmany w kółko do nieskończoności, nie zdając sobie najmniejszej sprawy z istoty rzeczy, jej cech zasadniczych, pojedynczych odcieni, podobieństw i różnic.

Taką gotową, a pustą formułką posługiwano się bierząc modernizm indywidualizmem. Jest to banalny komunał, a nonsens nad nonsensami zarazem. Z wrodzoną elastycznością umysłu, uginającą się za lada powiewem najpłytszych nowinek każdej plotki literackiej zagranicą, przyjeśliśmy ten podrobiony szyld skwapliwie wywieszając go na targowej hali produktów współczesnej literatury nie umiejąc sobie własnym wysiłkiem dać rady z tym fantem: samodzielne myślenie bowiem jest u nas zanikającym szcążkowym fenomenem. Sprawy wzięły tak bezczelny, a wielce znamieny obrót, że aby publiczności uprzęstąpić, wśród niej spopularyzować, rozwoźnić i spłaszczyć w ten sposób dzieła Słowackiego i przychylnie ją dla niego usposobić, puszczono się na intratne przedsięwzięcie interpretacji utworów jego zapomocą algebraicznych wzorów rzekomo modernistycznej estetyki i nie wahano się z akrobatyczną zręcznością najszczytniejsze emanacje jego natchnienia naciągając prokrusłowo na aktualne, efemeryczne szematy. Przedsięwzięcie to cieszyło się wielkiem powodzeniem, a odnośne dzieło p. Matuszewskiego, które przeprowadziło ten proces o ojcowstwo modernizmu przeciw Słowackiemu nagrodzono i zarubrykowano jako najwspanialszy kwiat samodzielnej, polskiej myśli krytycznej. Porzucono w ten sposób całkiem obcy plód cudzemu ojcu. To skandaliczne szachrajstwo hodowała z wła-

szcza z wytrawnością eskamoterów krzykliwa swego czasu krakowska grupa modernistów, celem wzebrania się w charakterze progenitury Słowackiego w prostej linii w poczytność i łaskę publiczności. Nie ufając samodzielnej energii wystąpienia, siłę samorodnej idei i własnym kwalifikacyom artystycznym użyto nazwiska Słowackiego za pomocnicze szczudła w zupełnej świadomości umyślnego fałszerstwa, ile że trudno przypuścić, aby to uszło choćby nie bardzo sprytniej zdolności oryentowania się, że ten zasób idei, zapas środków artystycznych i ta sfera wyobrażeń, które do skarbcza umysłowości wnosi współczesna poezja, z poezją Słowackiego literalnie nic nie ma wspólnego. W tem poszukiwaniu węzłów genealogicznych załgała się krytyka polska z kretesem.

Na rachunek Słowackiego uprawiano też ów rzekomy indywidualizm; z tego też tytułu pisał nawet taki Przybyszewski całkiem na zimno swą retoryczną, błagierską apostrofę do „Króla Ducha,“ a za jego przykładem szli wielbiciele i przeciwnicy. — Tak też z ust do ust podawano ową legendę o indywidualizmie modernizmu i jednym tchem wypowiadano te dwa wyrazy, nie zważając na to, że indywidualizm jako hasło jednolitego prądu literackiego jest sprzecznością samą w sobie, a poza tem jest gołosłowną bańką mydlaną, wydełym pęcherzem, tabulą rasa, której dopiero to, co ją wypełni, istotną i rzeczywistą wartość nadaje.

Przeoczono bowiem, że indywidualizm jest przecie immanentną zasadą wszelkiej prawdziwej twórczości i był nią, od kiedy świat światem, a sztuka, która za temat obiera sobie indywidualizm, może być tak dobrze nieindywidualistyczna, jak każda inna o temacie nieindywidualistycznym. Przemycano przytem humbug, że sztuką współczesną jest tylko ta, która się zajmuje indywiduum jako takim. A była to woda na korytko drobiu z podwórka modernistycznego. *Clou* bowiem i *piece de resistance* całej tej komedyi jest to, że utwory najradykałniejszych indywidualistów właśnie, którzy liryczne dzieje indywiduum opiewają z wyraźnemi aluzjami do indywidualizmu jako hasła, są do siebie podobnusięńkie, jak dwie krople wody, z powodu identyczności tematu i obrobienia. I tak licznie rozrodzona familia indywidualistycznych modernistów zdemaskowała się jako grupa braci sjamskich. Bowiem jest się ślepym na rozgległą panoramę życia, otwartą jak na dłoni, w której dzieją się rzeczy, żadnemu modernście ryczałtowo ich biorąc i każdego z osobna, nieznanę.

Oto i program tych gloss do literatury.

Ślubujemy sobie tępić na tem miejscu wszystko, co pachnie w modernizmie humbugiem, poza, metodą: chytrym mudro nie wetykim kosztem, »szparagowym« indywidualizmem bez indywidualności, naśladownictwem z drugiej ręki, jałową poe-

tycznością, dekoracją i kulisami. Chcemy w ten sposób wietrzyć zakłamaną atmosferę literatury i krytyki, tej ostatniej zwłaszcza, atmosferę, w której szerszym płucem na seryo trudno wyżyć.



Plotki niedzielne.

(Dlaczego nie chciałem się zgodzić na współpracownictwo. — Wędką na czytelników. — Obywatel przed afiszem. — Ankieta w Izbie handl. a prof. Lutosławski. — Karnawał, „Słowo polskie“ a syoniści. — „Przedświt“ detronizuje p. Korytowskiego. — Pytanie konkursowe „Ilustracji Polskiej“. — Czego jeszcze potrzeba naszym recenzentom muzycznym? — Sąd konkursowy. — Pan Studnicki. — Moja niewdzięczność.

Na propozycję redaktora, ażeby w jego tygodniku o-
bjął fejteton niedzielny, nie chciałem się początkowo zgodzić
a to z następujących powodów: Primo nie mogłem dać apro-
baty na format, który nie jest ani tak zastraszająco przeogrom-
ny, jak najdowcipniejszy z »Przeglądów«, ani tak skromniutko
drobny, jak »Przyjaciół głosów ludu«, ani tak sympatycznie
średni, jak wszechwiedząca i wszech piekarzy, restauratorów,
piernikarzy i t. d. bez końca ilustrująca »Ilustracja polska«,
ani tak — ale na co to wyliczać wszystkie istniejące formaty,
kiedy my wszystkie znamy aż nadto dobrze. Tyle jest dobrych
i znanych formatów i na szczęście tak mało się to wszystko
czyta, więc na co szukać nowych!

A dalej nie podobał mi się sposób wprowadzenia pisma.
Radziłem, by redaktor, pomimo opóźnienia wydawnictwa wy-
znaczył za przykładem innych szanujących się pism, zachęca-
jące premje noworoczne dla swoich czytelników, i tak: kto
złoży z góry całą prenumeratę za pierwszy numer, ma otrzy-
mać nowe, nawet jeszcze nieużywane szelki; kto zaprenumeru-
je pismo na cały miesiąc, będzie mógł korzystać z bezpłatnej
wypożyczalni butów i fraków karnawałowych (zadziwiająco
całych!) a — *pour la bonne bouche* — ktoby miał szaloną od-
wagę wierzyć w tak bajeczne (w Galicyi!) powodzenie i wy-
trwałość nowego pisma, że złoży przedpłatę za cały — rumie-
nię się — kwartał, ten będzie — nie, ja doprawdy nie wiem,

coby wyznaczyć dla takiego śmiałka. W każdym razie nagroda musiałaby być w złocie lub srebrze. W ten sposób, *a tout prix* złowiłbyś, kochany redaktorku, nawet może aż... 1500 (sage: tysiąc pięćset) prenumeratorów, z tych nota bene tylko 200 płatnych, 300 z łaski lub za współpracownictwo gratis po jednym egzemplarzu otrzymujących, a tysiąc tzw. subprenumeratorów, czyli razem akuratnie tyle, ile potrzeba na jakie takie ucziwe a przyzwoite brnięcie w długach, zaległości w drukarni przy równoczesnej wędrówce z jednej drukarni do drugiej, pozostałości w składach papieru, w biurach ogłoszeń itd. bez końca. Krótko mówiąc, musisz dopłacać czytelnikom, jeśli naprawdę chcesz, by cię czytano. O ile mi wiadomo, to z lwowskich dzienników jedyne »Słowo polskie« żadnej uchwytniej premji nie udziela. No, ale papier, na którym się ten dziennik drukuje, jest higieniczny, co przecież powinno wystarczyć za dziesięć innych premij. A tu stanie ci obywatel przed aliszem zapowiadającym nowe wydawnictwo i nie patrząc jeszcze na tytuł szuka premji. Nie znalazłszy jej, pokręci nosem i uśmiechnie się: »Pi, pi, oni nic nie dają i chcą, aby czytano ich dureństwa. A gdzie honorarium? Et, pojdę do takiej gazety, która da romans dla córki, abo kalendarz dla mnie, abo, jak zapłacę za rok z góry, to mogę nawet dostać jakiś kawałek ze śrybła dla mojej baby...« Bardzo słusznie!

Z tych i wielu innych powodów (także bez końca) wstrzymałem się przez dni kilka ~~o~~ współpracownictwa w »Małpiem Zwierciadle«, ale szelma redaktor wiedział, czem się przekonuje galicyjskiego dziennikarza i oto jestem.

A kiedy już jestem, to muszę po tym długim wstępie krótko streścić najważniejsze wypadki z dni ostatnich, dziś wyjątkowo z całego miesiąca.

Co mi najwięcej imponuje to zwołana do tut. Izby handlowej ankieta w sprawie ustawy przeciwko opilstwu, która to ankieta przez kilkanaście godzin zastanawiała się nad tem, jakby to skutecznie zaradzić przesadnej w ostatnim czasie wstrzemięźliwości członków »Eleuteryi« »nie wpuszczających« alkoholu do domu a pijących tylko poza domem. Nie wierząc z zasady żadnym sprawozdaniom dziennikarskim nie wiem dokładnie, jaki był rezultat obrad ankiety, natomiast, o ile z dat statystycznych ostatnich kilku miesięcy wydedukować mo-

głem, ceny alkoholów i ich produkcya w kraju, pomimo pocieszających wyników działalności »Eleuteryi« wzrosły w ostatnim czasie tylko nieznacznie. Tym niedostatecznym rezultatem przeraził się tak bardzo prof. Lutosławski, praapostoł wstrzemięźliwości i właściciel browaru w Królestwie, że chwycił się ostatecznego środka i przekabacił swoją »Eleuteryę« w »Eleusis« przyczem w miejsce pojedynczej poczał kazać ze swojej grozą przejmującej ambony poczwórną wstrzemięźliwość: od przesadnej religijności (szusznie!), niemieckich kart (racya!), starych kobiet (brawo!) i fałszowanych trunków (vivat!). Przyłączam się w całej rozciągłości do »Eleuterji« i »Eleusis« prof. Latosławskiego i idę w moim bezprzykładnym ascetyźmie jeszcze dalej — a zatem *plus pape que le pape* — bo odtąd wstrzymuję się także od wszelkich tańców, do czego spowodował mię tegoroczny bal »podlotków«, słusnie dla swych 28—40 letnich i 60—300 funtowych uczestniczek tak nazwany.

Tak jest. Karnawał tętni w całej pełni bawią się ludziska i nie myślą nawet w swojej bezmyślności o zagrażającym całemu światu niebezpieczeństwie ze strony syonistów, którzy według swiatłych ostrzeżeń zawsze dobrze poinformowanego »Słowa polskiego« dziś jutro zagarną całą kulę ziemską razem z Galicyą i pałacem naftowym przy ul. Chorążczyzny 17. A więc miejcie się na ostrożności i pamiętajcie chamy o tem, że »Słowo« ma wyrobiony węch jeszcze z czasów afery z królem Menelikiem. Twierdzą złośliwi, że to ostrzeżenie »Słowa« ma podkład egoistyczny. Gdyby się bowiem sprawdziły horoskopy »Słowa polskiego« to musiałoby ono zmienić tytuł na »Słowo żydowskie« a wtedy utraciłoby drugą połowę swych prenumeratorów, którzy jak wiadomo tylko z przyzwyczajenia do tytułu i bardzo zdrowej bibuły jeszcze ciągle narkotyzują się wypocinami mózgowemi wszechpolskich rycerzyków zasłaniających się szan. nazwiskami pp. Kasprowicza, Bartoszewicza, Niewiadomskiego i innych nielicznych.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z »Przedświtem«, którego stosunki materialne nie zmieniły się pomimo zmiany wydawców, co należy rozumieć w ten sposób, że jak przedtem nic nie miał, tak i teraz nic nie ma. W ostatnich dniach jednak jeszcze raz spróbował być sensacyjnym. Oto rozgniewany na p. Korytowskiego (może z powodu bezwzględnego ściągania

podatków z chromającej kasy redakcyjnej) przeniósł tego mocarza skarbcza galicyjskiego w stały a dawno już zasłużony stan spoczynku. Temu zdetronizowaniu sprzeciwiła się jednak kategorycznie Lembergerka przynosząc skwapliwie nazajutrz uspakajającą i pocieszną wiadomość, że eksc. Korytowski nie ustępuje, ale owszem w połowie lutego wraca i obejmuje urzędowanie, aby jak dotąd, tak i nadal pracować na pożytek i chwałę swojego społeczeństwa.

To uspokoiło mię nieco i zabrałem się odrazu do rozwiązania najnowszej zagadki konkursowej » Ilustracyi « : » Ile lat należy się uczyć francuskiego języka w Galicyi, ażeby z przedstawienia francuskich aktorów (Monna Vanna) nie zrozumieć ani jednego słowa i ile francuskich słowników winien teatr przygotować dla premierowej publiczności, recenzentów i inteligencji « ?

Trafnego rozwiązania nie zdradzę, gdyż spodziewam się otrzymać nagrodę (3 kor.) przez losowanie, natomiast w imieniu naszej redakcyi stawiam wzorując się na » Ilustracyi«, inne o wiele aktualniejsze pytanie konkursowe: » Czego jeszcze potrzeba recenzentowi muzycznemu we Lwowie, skoro równocześnie odbywa się koncert we Filharmonii i przedstawienie operowe w teatrze i skoro tak tu, jak i tam ma po jednym wolnym fotelu, na których musi si e d z i e ć równocześnie? « Tylko trafne odpowiedzi należy nadsyłać do obu dyrekcji teatru i Filharmonii, gdzie celem wyznaczenia nagrody za najlepszą odpowiedź zbierze się w tych dniach sąd konkursowy, złożony z ludzi fachowych jako to: adwokat, sprawozdawca sportowy, dwóch atletów, fabrykant szwedzkich zapafek, intro-ligator, dwóch weterynarzy i dorosły, ale inteligentny rzeźnik. Do sądu konkursowego nie powoła się natomiast pana Masłowskiego z obawy, aby nie przedrukował i w ten sposób przedwcześnie nie zdradził najlepszej wierszowanej odpowiedzi.

Zanim jednak rozstrzygną sędziowie, komu należy przyznać nagrodę zamykam niniejszem moje sprawozdanie za miesiąc styczeń, zostawiając na razie wielką politykę najznakomitszemu dyplomacie lwowskiemu p. Studnickiemu, a inne drobne i mniej ważne fakty znanym z poczciwości i wiecznie za jak największą liczbą wierszy wężącym szmokom reporter-

skim, dla których właściwie do wielkiej poczuwam się wdzięczności, jako że oni przedewszystkiem będą mi dostarczali tematów do moich plotek niedzielnych. To się nazywa niewdzięczność ludzka... ha!

(***)



Glossy teatralne.

(O). To był dopiero prawdziwy dramat Kaliny, owo solidarne przez publikę i prasę potępienie »Widziadła« p. Kaweckiego. Nie było w tem również nic nazbyt tragicznego i owszem spodziewały się raczej należało, że doznana klęska bynajmniej na młodego i śmiałego autora nie wpłynie deprymująco; a za to i przy tej, jak przy każdej innej sposobności, miało się sto pociech z zachowania się, dowodów znawstwa i przenikliwości naszej krytyki. Sztuka p. Kaweckiego upadła na wszystkie cztery łapy, to jeszcze nie dowód, że on nigdy lepszej nie napisze, przeciwnie wprawne i baczne oko umiałoby dostrzedz nawet w tych zblamowanych »Widziadłach« błyskawiczne rzuty rzadkiej inteligencji i pierwszorzędnego talentu. Ale gdyby ktoś bardzo złośliwy chciał powiedzieć, że z okazji »Widziadła« nasza krytyka znów padła na głowę, ten tylko zarzut miałby go w odpowiedzi spotkać, że z natury rzeczy nie pada się przecież na to, czego się nie ma.

Niechże się nasza krytyka tem pociesza, że Bóg jej nie zechce unieszczęśliwić, bo nie ma jej czego przedtem odebrać. *Und wo nichts ist, da hat auch Gott sein Recht verloren.* Arcyznawca p. Krechowiecki okazał przy tem tyle rzadkiej na tym pyszałkowatym świecie skromności, że trudno sobie odmówić przyjemności przygwożdżenia na tem miejscu tego fonomena, jako wzoru do naśladowania.

Oto, jak zaczął recenzję o »Widziadłach«:

»Byliśmy świadkami niezwykłego objawu. Publiczność tak zwykle potulna, czy obojętna, a z reguły przyjmująca rzeczy swojskie z sympatją, gwizdała.«

Jeżeli się zważy, że pisząc o tem p. Krechowiecki musiał mieć na myśli swój: »Jeden dzień«, ten o pomstę do nieba wołający skandal literacki i że widocznie jedynie potulnością publiczności usprawiedliwia fakt swoją drogą nie do usprawiedliwienia, że sztuka ta nie została wygwizdana, to ma

się tu do czynienia z autorską skromnością tak szacunku godną i ponad zwyczajną miarę, że ją tu dla potomności reprodujemy.

* * *

Panu Kaweckiemu gratulujemy szczerze zawodu, jaki zgotował publiczności. Był to dla niego niezawodnie przyszcnie nielada, który go z niezdrowej ambicji szukania szybkiego rozgłosu radykalnie wyleczy. Wszystkim młodym a szybko starzejącym się autorom należałoby zapisać tę kurację, choćby z dotkliwym narażeniem miłości własnej. Był to, co prawda, w każdym razie dla ludzi dbających o to, aby indywidualność zwyciężyła, a publiczność była wzięta bez pardonu za łeb, przykry akt egzekucyjny. Niby postawienie niegrzecznego chłopaczka do kącika. Lub na odwrót dokuczanie swawolnych łobuzów wierszorobowi Wrońcowi z *»Widziadła«* po wyłudzeniu wszystkich karmelków. Pan Kaweckie zapomniał, że najostrzejszą pigułkę trzeba podać publiczności w cukrze; zapomniał jednak i to, że chemikalja, potrzebne dla organizmu ludzkiego fizycznego, czy duchowego, muszą mieć należytą przyprawę, a surowo i na czezo są *»niejadalne«*. Otóż tym razem był kiepskim kucharzem. Przyprawa nie udała się w całym tego słowa znaczeniu. A szkoda! wielka szkoda! bo chemikalja, które w skład tego obroku wchodziły miały smak, pożywność i dostateczny zapas tłuszczu duchowego. Cóż! kiedy sam materiał nie wystarczał, a zaprawiono go mniej niż nieudolnie. To jednak rozumna, poważna i stateczna krytyka winna była dostrzedz i skostatować, bo to jej psi był obowiązek zawodu, że p. Kaweckie pracuje w nie bylejakim laboratorium i operuje w niem pierwiastkami niepospolitej wagi. Niechże się który z tych panów w zakresie swego fachu zdobędzie na taki pomysł, założenie i konstrukcję logiczną, jak p. Kaweckie w zakresie swego fachu, a Sodomia gnuśności i opieszłości umysłowej tych panów dla tego atomowego ziarnka ślepej kurki byłaby zbawioną.

* * *

Przyczyną całego fiaska był niewątpliwie lekkomyślny, karygodny pośpiech. Pośpiech gracza, który ma dobre karty w rękę i chciałby niemi jak najrychlej wygrać. Aliści w sztuce, jak w grze, same dobre karty nie wystarczają, trzeba je umieć dobrze zagrać, w czas je zadać: decyduje namysł, logika artystyczna. Pan Kaweckie wszystkie karty rzucił chaotycznie na stół. Była to już nie artystyczna gra, ale sztubactwo, którego ofiarą padły przepyszne atuty, jakie miał w rękę.

Chciał za wszelką cenę rzucić nową sztukę na szalę rozgłosu (nie sławy!) i szył ją na aparacie telegraficznym. Byłe prędzej! byłe prędzej! Und die Depesche ist so verstümmelt gekommen, że żywa dusza jej odsylablizować nie była w stanie. Autor sam jej zapewne nie poznał.

* * *

Nie rozumiem, dlaczego nasi autorzy, nawet tam, gdzie to nie jest wskazaniem, sadzą się gwałtem na sztuki trzyaktowe, szkodząc sobie przy tem sami jak najwięcej. Strinberg, majster jednoaktówek, powiada gdzieś propagując metodę redukowania dramatu do jednej sceny, że każda sztuka zdaje się być przeważnie napisaną gwoli jednej sceny, a cała rozkosz twórcza autora zasadza się jedynie na tej wyjątkowej scenie, około której wszystka reszta się obraca. Bez zastrzeżeń wprowadzić tego aprobować nie można, a w danym wypadku sąd ten zawodzi, ile że „Widziadła“ nie zawierają ani jednej takiej fundamentalnej sceny, któraby ściagała na siebie zmagnetyzowaną uwagę i skupiała zarazem wszystkie nici dramatu. Ale ta prawda w tym sądzie pośrednio się mieści, że skoro dany temat nie przedstawia ilościowo materiału twórczego na trzy akty, elementarne prawo koncentracji artystycznej nakazywało ograniczyć się do jednego. Przy tych warunkach, jak one zostały opisane, a nie przedstawione w „Widziadłach“ byłby się dał skomponować jedyny i zwizły jeden akt, a autor niewątpliwie byłby to uczynił, gdyby był zastanowił się i faldów przesiedział, a nie puszczał kiczów od ręki. Byłby wtedy zmuszonym temat uchwycić w punkcie, w którym się wszystkie osie przecinały i na tym punkcie stoczyłyby swą walkę dramatyczną. Zyskałby przez to tem więcej, że w chwili podniesienia zastony bohater sztuki jest już ze swą aferą miłośną z śp. Irmą *fait accompli*, a obecnie rozchodziło się jedynie o to, jak ten zawył kłębek psychiczny, rzucony w umysł opuszczonego kochanka kościstą dłonią śmierci kuszająca ręka życia po niteczce na nowo rozwikła. Że za narzędzie służyła tu właśnie druga kochanka, to już była uboczna, szczęśliwa i pieprzna przypadkowość. Mógłby być każdy inny fenomen życiowy. W każdym razie od tego punktu z tymi zasobami, które wypełniły dziurawe trzy akty należało pozostać na jednym, ale efektywnie zgeszczonym. Tak, jak to autor zrobił „*da standen die Ochsen am Berge durch drei Acte und wussten sich nicht zu helfen*“ Niech sobie tę lajemnicę rzemiosła, życzliwie mu wyłożoną, p. Kawecki na przyszłość zapamięta. Przecież już nawet p. Zapolska, która ma czasami dobry węch na arkana dramatycznego metier ogranicza się

w rzeczach mniejszych. jak „Dziewiczy wieczór“ „Jesiennym wieczorem“, do jednego aktu. Są to, przyznaję, po prawdzie lichoty i w jednym akcie, ale pomyśl Pan sobie, jakie monstra potworzyłyby się z nich w trzech aktach.

Zarzucają Kaweckiemu jego pospolitą trywialność. Sądzę, co do mnie, że tej trywialności raczej za mało, niż za dużo, to znaczy, że jest ona u niego monotonna, brak jej urozmaicenia, płytką i zewnętrzną, nie ma śmiałości, i polotu. Tak np. cała galerja osób cierpi na kolki żołądkowe. Jest to bądź co bądź ubóstwo pomysłowości.

Trywialności zatem, jak najwięcej trywialności! Byli ordynarnymi Ostade, Brouwer i Teniers w holenderskiem malarstwie, wartoby się pokusić pójść z nimi w zawody w dramacie. Niechby od tych karczemnych grubiaństw publiczności aż uszy popuchły, niechby pruderom na ich faryzeuszowskie policzki wypicki wystąpiły, choćby potem cała warszawska premierowa publika z naczelnymi krytykami na czele, których tepota staje się zwolna w całej Polsce przysłowiową, ostentacyjnie wychodziła z teatru, choćby potem p. Masłowski śmiał utrzymywać, że „prawdziwie“ utalentowany poeta, (więc można być i „nieprawdziwie“ utalentowanym) powinien (a wara od tego, co poeta „powinien“!) czerpać z życia towarzyskiego o formach wykwintnych, subtelných i cywilizowanych. Co za paradna intryga! Pan Masłowski udzielający np. Szekspirowi noty cenzorskiej z estetyki salonowej, teoretycznego i praktycznego kursu *savoir vivre'u*. Szekspirowi, nieśmiertelnemu proplacście wszystkich obskurnych grubiaństw na scenie.

* * *

Kawecki ma naśladowania godną odwagę prawienia publiczności ze sceny oko w oko impertynencyj i subiekcyj. Odzwyczajają ją w ten sposób od przesądu, że sztuka jest na to, aby konsumentom podbijała samolubne bębenki, stroiła grzeczne grymasy, jakby trzech zliczyć nie umiała, laskotała komplementami, rozdawała dusery. Jest to u młodego autora niepowszednia zaleta, rzadka i cenna, której junackie dowody złożył i w „Dramacie Kaliny“ i w „Widziadłach“. Buńczuczność swą radykalizuje tak dalece, że ćwirka pięściami wprost popod nos specjalnie teatralnej publiczności zgromadzonej w widowni. Pod tym względem zdobył się w obu sztukach na kilka doskonałych replik. Lubi też tej publiczności cichaczem język wystawić, a umie ją także poskrobać w nerwy. Bezecnie skłamię, kto nie przyzna, że go ciarki przeszły od stóp do głów wtedy, kiedy na scenie w „Widziadłach“ przyszedł autorowi gust przypomnienia każdemu niemal widzowi, flirtują-

cemu tu na premierze ze sztuką w zaperfumowanej, jedwabiami szeleszczącej atmosferze salonu, że ma na jakimś z cmentarzów kogoś, który mu był bardzo droгим, a który się teraz w tejże samej chwili w spruchniałej trumnie, przywalony przemarzłą i wilgotną ziemią, w proch rozsypuje...

* * *

Ciekawym jest problem psychologiczny niefortunnej twórczości Kaweckiego w pierwotnej, rodnej koncepcji. O ile przypuszczaby wolno wypływa ona, jak się wydaje, z zagadnienia czysto artystycznego, przeżytego we własnym doświadczeniu, które autor następnie w obu swych sztukach przetransponował na syfuacje życiowe. Tem doświadczeniem zdają się być fluktuacje i przełomy czysto artystycznej natury, które autor następnie, wcielając je w kłamane fabuły, symbolizuje zdarzeniami powszedniej rzeczywistości. W tym tkwi wyłącznie subiektywna strona obu jego utworów, opartych niejako w zasadzie na doświadczeniu subiektywnym, nadająca im charakter literackości i ukrytą cechę rodzaju Artistendrama, a nie, jak to przygodna, plotkarska, zaglądnąca przez dziurki od klucza reporterka bajlowała, w przeniesieniu osobistych zdarzeń życiowych na deski sceniczne.

Kaweckie oscyluje sympatjami poetycznymi między dwoma krajnymi biegunami. Światem idealnych porywów i astralnych zagadnień, a światem najgrubszej surowizny łyżakowskiego typu. Wzajemne ujadanie na siebie i zagryzanie się tych dwóch sfer wyobrażeń, danych mu w doświadczeniu wewnętrznym, wytwarza kolizje i perypetye pełne gryzącej, kostycznej ironii. Sam fenomen tego wzajemnego oszczekiwania się, materializuje autor artystycznie w postaci Kaliny, układającego fałszywie dramatyczną pozę i komponującego efektowną akcję niby rachunek bez gospodarza, który mu następnie gospodarz rzeczywistość koryguje, czy w postaci Oresta, co to wypruwa ze siebie zrazu atrybut myśli i zawieszają ją w międzyplanetarnej przestrzeni, aby potem zajechać na podwórko małżeńskiego stadeczka. Sympatjom łyżakowskim składa zaś autor haracz w swych epizodycznych postaciach, które mniej lub więcej zręcznie wpłata w zasadniczy temat. I tak w klatce scenicznej więzi życiowych antypodów.

Tego problemu naturalnie ani publiczność, ani recenzenci nie pojąją. Przedstawia to, co prawda, pewną trudność. Chwałą natomiast autora szeroką gębą za bystrą obserwację epizodycznych figur.

Niechże Bóg poezji ustrzeże Kaweckiego, aby się dał na te plewy pochwał złowić. Czuć się to już dało w „Widziadłach“,

gdzie sztukę zgola niepotrzebnie obciazył balastem pochwyczonych z ulicy typów. Ale gdy w »*Dramacie Kaliny*« uboczne figury trzymały się kupy i głównego wątku tem, że je Kalin brał jako żywe modele do swej sztuki, tu te postacie, pozabawione ram takich, wyłaziły ze sztuki przez kiepskie jej szwy, a całość ostatecznie nie została uratowaną i przez te ulubione przez publiczność wkładki. Skupić uwagę na zasadniczy motyw i zająć się wyłącznie jego rozwiązaniem: o lekcya dla ambitnego młodziana.



Notatki z tygodnia.

Od wydawnictwa. Z powodu, że papier specjalnie przez nas we fabryce zamówiony, nadejdzie do Lwowa dopiero za dwa lub trzy tygodni, zmuszeni jesteśmy przez pierwsze trzy tygodnie drukować nasze pismo na tym papierze, jaki we Lwowie dostać było można tj. jaki już tu był na składzie. Zarazem zamówiliśmy specjalny papier na okładkę.

Część artykułów, które nadesłali nam autorowie poza Lwowem zamieszkali, nadeszła za późno, gdyż numer nasz zamykamy w piątek rano ze względu na oprawę introligatorską tak wielkiego nakładu i rozsyłkę pisma na prowincyę w bardzo wielkiej ilości egzemplrzy. Za to wszystko przepraszamy naszych Czytelników przyrzekając poprawę

Wiadomości osobiste. Panowie: prezydent Małachowski i redaktor dr. Vogel wbrew życzeniu i doniesieniu „Słowa polskiego“ nie zachorowali.

Jak byk czerwonej chustki, tak nastraszyły się niektóre nasze dzienniczki zapowiedzi naszego pisma. Co? „Małpie Zwiercadlo“? Jeszcze tego brakowało... Prawie żartem zawiadomiliśmy

niektóre lwowskie dzienniki o założeniu naszego tygodnika proponując zamieszczenie stosownej wzmianki. I tylko dwa zaledwie pisma zamieściły notatkę o powstaniu „Małpiego Zwierciadła” a reszta czując przez skórę, co się święci, zamilczała o nas konsekwentnie. Bardzo wymowne milczenie...

Kurjer lwowski przyniósł w niedzielnym numerze artykuł pn. »Teatr narodowy«, w którym upatruje przyczynę smutnych stosunków finansowych naszego teatru w sprowadzaniu zagranicznych śpiewaków operowych. Otóż myli się się szan. »Kurjer« i to dość grubo, gdyż wiemy wszyscy, że publiczność nasza wypełnia salę po brzegi, ile razy pojawi się jakaś zagraniczna gwiazda i że te właśnie przedstawienia pomimo olbrzymich honoraryów najlepiej się rentują ratując dziurnemu występowi zagranicznej siły, jak przerażające pustki na zwykłym przedstawieniu. Dość przypomnieć występy Bel Sorel, kiedyto stałe każde przedstawienie było wyprzedane aż do ostatniego miejsca. Inny jest powód opłakanych finansów teatru, ale o tem pomówimy kiedy indziej.

Biuro pośrednictwa wolnej miłości zaprowadziło u siebie od pewnego czasu »Słowo polskie« w każdym swoim porannym numerze, gdzie na ostatniej stronie czytamy codziennie najrozkoszniejsze liściki miłosne, westchnienia, płacze, ochy i achy naznaczanie schadzek, tajne szepty i zwierzenia zakochanych, jak króliki, anonimowych adonisów. Biuro niniejsze oddające łakącym miłości znakomite usługi i z powodzeniem konkurujące z kelnerami trzeczorzędných hotelików, polecamy wicepr. Korytowskiemu do wysokiego opodatkowania, bo tego rodzaju instytucye winny opłacać wysoki podatek a »Słowo« skromnie ukrywa to rentowne biuro pod cichą firmą »drobnych ogłoszeń«.

Świątobliwy »Przedświt« , organ księży wyznaczył jako bezpłatną premję noworoczną dla swoich czytelników... »Wzorową Gospodynię«.

Niemiecki Polak. Dowiadujemy się, że na oficjalnym bankiecie pewnej tut. instytucji żydowskiej przewodniczący (dr. C.) pod koniec bankietu odezwał się do zebranych w następujące słowa: »Ich ertheile das Wort dem Herrn T., der die Reihe der Toaste mit einem altpolnischen »kochajme sze« schliesen wird«. *Tableau!*

Że „Słowo polskie“ popiera hakatyzm przez reklamowanie niemieckich firm, tego nie zaprzeczy nawet sam p. Wasilewski, skoro mu wyliczymy, że w Nr. 41. z dnia 25. stycznia br. znajdują się olbrzymie inseraty zachwalające niemieckie firmy: Messtorf, Behm & Comp. Hamburg; Verlags Magazin Leipzig Neumarktur 21; Fritz Schulz Junior Actiengesellschaft Eger und Leipzig; B. Karlsberg, Hamburg, Ferdinandstr. 15; fabryka dra Hoffmanna nast. w Meerane (Saksonia) i sto kilkadziesiąt firm wiedeńskich a to w myśl intencji streszczonej w olbrzymim napisie na stronie 10. tego pisma: „Popierajmy przemysł krajowy“ — ogłoszenia zbiorowe Słowa Polskiego.

Kwiatki stylistyczne, które kochane „Słowo polskie“ codziennie wysypuje ni to z rogu obfitości na krytyczne umysły swoich czytelników, zaczynają z wolna przechodzić w przysłowie. W Nr. 41. na str. 6. znajduje się taki kwiatusek: »W ul. Kotlarskiej l. 10. rozbili ubiegłej nocy rzezimieszki sklep Abrahama Fanda i poczęli w nim gospodarować, nadszedł jednak agent policyi Gross, więc złodzieje, ujrzawszy go z daleka, pouciekali, nie zabrawszy niczego« ... Ojoj! A dalej sprawozdawca obchodu rocznicy styczniowego powstania pisze (na stronie 7) bez zająknięcia: „... Celebrował je (nabożeństwo) w asyście OO. Bernardynów katecheta zakładu ks. Gnatowski, który też następnie odśpiewał kondukt przed katefalkiem pięknie przybranym w k i r y i n n e g o d ł a w a l k i n a r o d o w e j.“ Przedewszystkiem radziłyśmy wiedzieć, jak to się *spicwa ... kondukt*, bo my dotąd nie słyszeliśmy o tak śmiałym zwrocie. A dalej dowiadujemy się po raz pierwszy, że ... *kir* to także *godło* walki narodowej. Na samym początku tego sprawozdania można zauważyć takie reportersko-żonglerskie *tour de basse passe*: „Po odśpiewaniu przez chór mieszany ... Galla „Kosiarze“ i Chopina „Marzenie“ ... itd. A więc tytuły utworów według gramatyki „Słowa“ nie odmieniają się, choćby aż ucho piszczało od takiej gadaniay. Wprawdzie znajdzie się gdzieś w gramatyce jakieś usprawiedliwienie takiego pisania, ale sam p. sprawozdawca tej rocznicy przyzna, że nie zbyt miłym byłoby dla ucha takie up. zdanie: Po przeczytaniu „Pan Tadeusz“, wykuciu „Gramatyka Małeckiego“ i wstąpieniu do „Słowo Polskie“ można jeszcze być bardzo mało wrażliwym na piękno estetyczne stylu, *ut exemplum docet*.

Można być sędzią w zapasach atletycznych a mimo to nie być wolnym od stronniczości. Sportowy pod-sprawozdawca »Słowa polskiego« (bożbył jeden nad-sprawozdawca) wychwa-

łał codziennie w kronice swego pisma zapasy atletyczne¹ i wylewał krokodyle łzy wdzięczności dla dyr. Thorna za budzenie interesu u publiczności dla tak pięknego sportu. Ale tylko tak długo, jak długo piastował nadaną mu przez tzw. »teatrmajstra« godność sędziowską. Aliści razu pewnego strącono pana reportera z podziurawionego krzesła sędziowskiego i nazajutrz publiczność miała sposobność wyczytać w kronice »Słowa« najwstrętniejsze inwektywy pod adresem p. Thorna, jakoby wpływał na przebieg i wynik zapasów, opłacał atletów stawiając im za warunek, ażeby poddawali się Cyganiewiczowi i wreszcie, że zapasy w ohee tego straciły znaczenie sportu... skoro jego reporterska mość przestała już sądzić... Uwierzyliśmy! Drugiego dnia jest już sprostowanie i »wyjaśnienie«, które przetłumaczone na język codzienny tak mniej więcej opiewa: Był u nas dziś rano p. Cyganiewicz i pokazując pięść oświadczył, że wszystko, cośmy wczoraj o p. Thorne pisali, jest błagą. Zażądał, abyśmy natychmiast sprostowali. Prostujemy, prostujemy, prostujemy...

I tak ciągle zaciemnia się coś, ażeby potem było co »wyjaśnić«...

Niebywały program bo z dwudziestu kilku punktów złożony przynosi obecnie Colosseum pod dyrekcją p. Ernesta Thorna. Najważniejszą jest trupa Leonidasa składająca się z kilkunastu bardzo zabawnych punktów. Niektóre produkcje nie powstydzilyby się figurować w programie curku Barnum & Baylay.



Chronique scandaleuse.

Od nowego roku po dziś dzień tj. przez cały miesiąc styczeń nie popełniono w Galicyi żadnej defraudacyi.

W ostatniej chwili otrzymujemy pismo, w którym niewyraźnie podpisani autorowie skarżą się na niebywały dotąd u nas skandal, że we Lwowie nie ma w obecnej chwili ani jednego tinglu. Słuszny ten skandal piętnujemy w odpowiedniej rubryce. I jak tu wyżyć!



Odpowiedzi wydawcy.

Jeszcze nie wydaliśmy żadnego numeru a już otrzymaliśmy kilka zapytań, rad i spostrzeżeń, które wywołało już samo pojawienie się afiszów zapowiadających nasze wydawnictwo. Na niektóre odpowiadamy.

Panu S. T. — Zapytujesz nas szan. Pan o program a głównie Panu „chodzi o to, czy „Małpie Zwierciadło“ będzie konkurować z Monitorem i Reformatorem“. Otóż dowiedz się Pan, że my z nikim w ogóle konkurować nie chcemy a będziemy tylko biczować satyrą wszystko, co jest małpiem. Powstajemy na wzór wiedeńskiej „Fackel“, która zajmuje się dziennikami wiedeńskimi, a różnić się od niej będziemy wielostronnością. Bowiem nie tylko w naszych kochanych dziennikach zagnieździł się szlendryan, ale i w innych stosunkach polit. społ. i literackich i ten tępić będziemy bezwzględnie. Postaraliśmy się oczywiście o najlepszych współpracowników, których nazwiska z łatwo zrozumiałych powodów muszą pozostać w tajemnicy. Otóż widzi Szan. Pan, że jesteśmy piśmie zupełnie nowem, jekiego we Lwowie dotąd nie było, a skoro jesteśmy pierwszymi, to oczywiście mówić tu nie można, o jakiegokolwiek konkurencji. Dla dokładności dodajemy jeszcze, że nie będziemy się zajmowali wywlekaniem prywatnych brudów, co sobie zresztą wyraźnie zastręgli nasi współpracownicy.

Panu K. Czy będziesz Pan mógł nam co pisaćze sfer ak.. I owszem ale drukować będziemy tylko to, co się dla nas będzie nadawało.

Iris Na uspokojenie Pani z góry przyrzekamy, że „z kobitami“ nie będziemy zaczepiali“ nigdy „tak jak to robił Humorysta i Bocian“.



Odpowiedzialny za Redakcyę: Emeryk Kiss. Z drukarni St Kossowskiego.

Pi
324

Od 1. do 15.

COLOSSEUM

Od 1. do 15

lutego

pod dyr. ERNESTA THORNA

lutego.

W niedzielę i święta DWA PRZEDSTAWIENIA.

W niedzielę i święta DWA PRZEDSTAWIENIA.

Nieobowiązuje dotąd program.

LEONIDAS najznakomitsza trena-
ra psów i kotów.

ROCCO świetny mandolista
włoski.

Miss Calabrini
spiewaczka włoska.

Siostry Nerana z tlesowanymi
papugami.

Kwartet ateński.

Bracia Ados — akrobaci.

Les 6 Nereides spiewaczki i tan-
cerki włoskie.

Tropa Marnitz Manello — ekwilibryści.

Balet damski
(zakończony żywym obrazem).

Bracia Fidardi konieczni
akrobaci.

Moccia — znakomity komik włoski.

Bioskop amerykański.

Co piątku
HIGH LIFE

Codziennie o godz. 8 wieczorem
WSPANIAŁE PRZEDSTAWIENIE
W niedzielę i święta dwa przedstawie-
nia o godz. 4. po poł. po cenach zni-
żonych i o 8. po cenach zwykłych.

Bilety 43 wczesniej
do nabycia w biurze
dziećmiaków Wgo Plo-
lun, ulica Karola Lu-
dwika 1. 9., a przed
przedstawieniem przy
kaski.